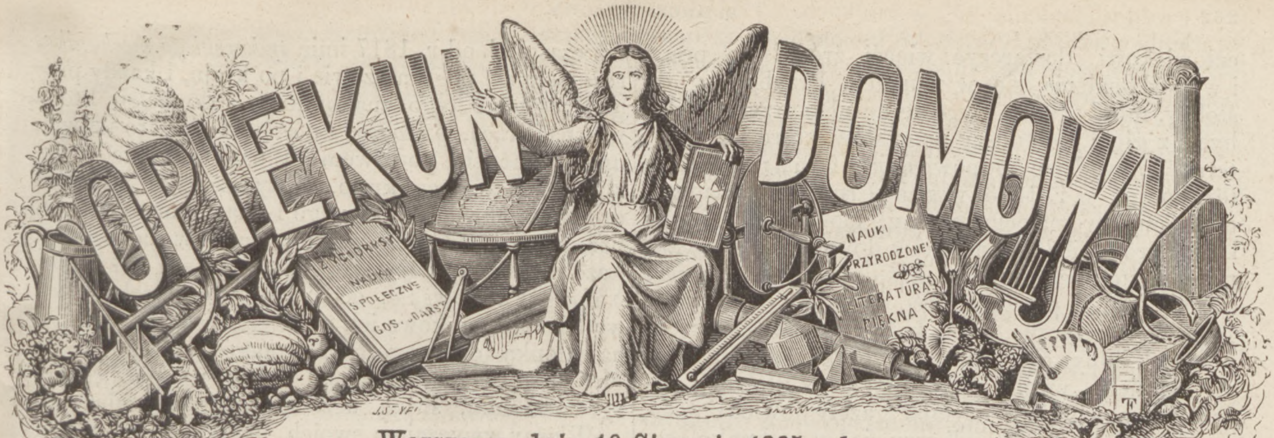
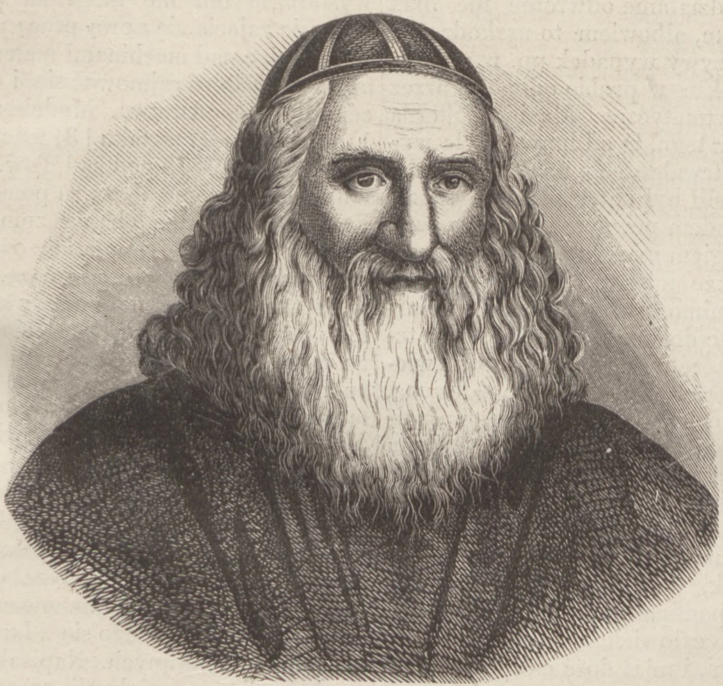


Warszawa dnia 16 Sierpnia 1865 roku.

Nr 33. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

ABRAHAM STERN.

Jest temu prawie lat pięćdziesiąt, kiedy w Warszawie wszystkich uwaga i ciekawość zwrócone były na jedną osobę, wyznania Mojżeszowego, zdumiewającą swoim talentem, a zacnością i położeniem swojém obudzającą cześć i poważanie u wszystkich. Tą osobą był Abraham Stern. Do ubogiego domku, którym zamieszkiwał, cisnęły się tłumy ciekawych: uczeni i zamożni, dostojni, i przyjaciele, odwiedzali biednego mechanika, którego imię szeroko słynęło w całym kraju. Wszyscy podziwiali wielkie bogactwo jego duszy, wzniosłemi przepełnionéj uczuciami i niepospolitemi darami uposażonéj od Boga. Lecz powiedzmy słów parę o jego pochodzeniu i pierwszych początkach zawodu.



Abraham Stern.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Szymborski).

Abraham Stern urodził się w roku 1769, w miasteczku Hrubieszowie, w Lubelskiém, z bardzo ubogich rodziców, którzy nie byli nawet w stanie łożyć na nauki dla swego syna. Obrali więc dla niego zawód rękodzielniczy, ażeby mu zapewnić sposób pewniejszy do życia. W domu jednak dali mu wychowanie zacne i poczciwe, które w dobrem sercu Abrahama rozwinęło najpiękniejsze uczucia i zasady. Z takim posagiem (podobno najważniejszym dla każdego człowieka) wstąpił młody Stern na naukę do zegarmistrza, gdzie wkrótce roboty jego, a mianowicie szybkość i zręczność, z jakiemi je wykonywał, zwróciły uwagę przełożonego, który poznał zaraz, że młody jego uczeń posiada wyższe zdolności do mechaniki. Sława zręcznego, i jak to nazywają, *sprytnego* ucznia u zegarmistrzów, rozniosła się po całem Hrubieszowskiém, a gdy uczony i zasłużony Staszyc, został Hrubieszowa właścicielem, zapoznał się z nim; uprzejmością i wrodzonym darem ujmowania sobie ludzi, przyciągnął go do siebie, bystrém okiem odkrył w nim gieniusz matematyczny, zajął się jego losem. Odtąd Stern zaczął się kształcić naukowo, pod opieką i nadzorem doradcy i przyjaciela. Z jakimże zapałem i uniesieniem rzucił się młody mechanik do książek, których łaknęła dusza jego, a których niestety! uboga kassa jego rodziców, ani jego własny i nędzny zarobek, nie mogły mu były dostarczać. Żywy i czynny duch jego połykał, że tak powiem, mnóstwo umiejętności, odpowiednich zdolnościom i wrodzonemu popędowi, a niezmordowana praca, nagrodziła to opóźnienie, na jakie skazało go ubóstwo. Skutkiem też téj usilnéj pracy, oprócz rozległych wiadomości w matematyce, jakich nabył, nauczył się Stern jeszcze po łacinie i po niemiecku, a przytém mówił po polsku tak czysto, jak tylko wykształcony Polak mówić może, i znał dokładnie język hebrajski, potrzebny mu do poznania wiary jego, w tym języku jak wiadomo wykładanéj. Radowało się serce szlachetnego Staszyca widokiem dojrzewającego gieniuszu; dla tego też, aby go prędzéj postawić na właściwem jego uzdolnieniu stanowisku, wyprawił go do Warszawy, jako do miasta mogącego młodemu

człowiekowi dostarczyć więcéj źródeł do pracy i wydoskonalenia się w naukach. Przybywszy do stolicy, młody Stern wkrótce uczuł potrzebę,wydobycia z głębi swéj duszy pomysłów, które już umiał teraz przyodziać odpowiednią formą; wkrótce też, bo już w r. 1813, wynalazł ruchomy trianguł, opatrzony dwoma celownikami, mogący inżynierom i jeometrom niedogodny stolik do mierzenia zastąpić, a następnie ułożył do dziś dnia słynną *maszynę rachunkową*, za pomocą któréj, wszystkie cztery działania arytmetyczne może każdy z łatwością i bez pomyłek odbywać. Powiadają, iż pierwsza myśl tego wielkiego wynalazku, zabłysła w głowie wówczas Sternowi, kiedy czytając gazety dowiedział się, że pewien kassjer, omyliwszy się w rachunku, sądząc, że z jego niedozoru lub jakiéj winy strata w powierzonych mu funduszach powstała, życie sobie odebrał. „Człowiek omylić się może, powiedział wówczas Stern, jakżebym chciał zapobiedz na przyszłość podobnym wypadkom!" I wtedy wpadł na pomysł zrobienia maszyny, ułatwiającéj proste rachunki, ale wyświadczającéj przez to wielkie posługi ludziom. Wielu sławnych matematyków, między nimi: Pascal de l'Epine, Boissintendeau, Grusson, Leibnitz i inni, pracowali nad machinami arytmetycznémi: prawie wszystkie jednak miały tę niedogodność, iż łatwo zepsuciu podpadały, i że to uszkodzenie przy wielkiéj komplikacji, nie łatwo dostrzeżonem być mogło; rachujący zostawał więc w niepewności, czy rachunek dobrze był zrobiony, czy nie. Próba przez działanie odwrotne nie była dostatecznym dowodem, albowiem to uszkodzenie, które sprowadziło fałszywy wypadek np. w mnożeniu, pokazywało się także w próbie odbytéj, przez dzielenie machiną arytmetyczną. Machina Sterna wydoskonalona, oprócz tego, iż od innych była wygodniejszą, prostszą i trwalszą, nie miała téj wady. Stern albowiem wymyślił był nowy zupełnie rodzaj próby, który był dowodem pewnym. Owóż w swojem skromnem i ubogiem mieszkanku w Warszawie, znany już jednakże miastu i uczeńszym jego mieszkańcom, lecz pomimo to z swego zawodu bardzo szczupłe posiadając dochody, dokonał Stern tego wielkiego dzieła, które imię jego w całym świecie rozgłosiło zaszczytnie. Z maszyną wynalezioną, pragnął on najprzód pochwalić się przed swoim najpierwszym przyjacielem, doradzcą i nauczycielem: Staszycem. Zabrał więc przyrządzony misternie model ze sobą, siadł na jednokonne sanki, bo to było zimą i pośpieszał z radością i bijącém sercem do mieszkania uczonego męża. W drodze jednak zdarzył mu się przypadek, o którym dla tego tylko w życiorysie jego wspominamy, aby pokazać i ten przymiot znakomitego człowieka, że się nie zrażał nigdy przeciwnościami, i miał dość cierpliwości do wytrwania w powziętym zamiarze. Owóż niebaczny jakiś panek, pędząc może na jaką rozpustę lub szulerkę, potrąciwszy jego sanki swoją rączą karjolką, wywrócił je, i Stern, który w ręku trzymał swój wynalazek, wypadłszy potłukł go na drobne kawałki. Zasmucony, nie stracił jednak ducha, jak to często w takich przeciwnościach się wydarza; wrócił do domu, zabrał się do pracy i wkrótce, choć z niemałym mozołem, nowy model wykończył. Staszyc przyjął Sterna z radością i serdeczném wzruszeniem. Wynalazek nowy i tak prosty podziwiał, i winszował swemu młodemu przyjacielowi stanowiska, jakiego mu już nikt nie zdołał zaprzeczyć. Od tego też czasu t.j. od r. 1817 imię *żydowskiego mechanika*, rozniosło się po Warszawie i po kraju, i każdy pragnął oglądać tego znakomitego człowieka, który własną pracą, *o głodzie i o chłodzie*, jak to mówią, umiał stać się podziwem, a nadewszystko przysługą i zaszczytem kraju. W tymże roku nadeszła uroczysta chwila dla zacnego i szlachetnego Sterna, pomimo tak wielkich zasług, ciągle w niedostatku i czoła pocie pracującego. Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie, oceniając jego mechaniczne wynalazki i naukowe ich objaśnienia, zawezwało go na członka do swego grona, pośród którego, d. 30 Kwietnia 1817 r., Abraham Stern, na publiczném zgromadzeniu, swoją uczoną rozprawę odczytał.

Wierny zwyczajom swoich przodków, Stern tak na tém zgromadzeniu, jako też na wszystkich późniéj zebraniach czy to publicznych czy salonowych, znajdował się w starozakonnym stroju t. j. w tak zwanym talarze żydowskim, czyli żupanie po kostki. Na posiedzeniu odczytał opis machiny arytmetycznéj, połączonéj z nowym wynalazkiem t.j. machiną do wyciągania pierwiastków z ułamkami, który to opis znajduje się drukowany w Tomie XII Roczników Tow. Przyj. N. Warszawskiego.

Uznanie i cześć, jakie otaczały Sterna, były rzeczywiście najmilszą dla niego nagrodą za trudy, za które też innych korzyści nie szukał. Mimo bowiem ciągle wyświadczanych przysług ogółowi, zostawał Stern prawie zawsze w niedostatku, gdyż zebrany fundusz za jeden wynalazek, nigdy dostatecznie wystarczać mu nie mógł na potrzeby do życia, w czasie zajęcia się nową pracą mechaniczną.

Pracując nad machinami matematycznemi, nie zaniedbywał Stern zajmować się i wynalazkami służącémi do gospodarstwa. Modele trzech wynalazków: 1) młockarni 2) tartaku i 3) machiny do żęcia zboża poddał w r. 1818 pod sąd Tow. Przyj. Nauk. Machina do młócenia zboża za pomocą cepów, których liczba podług upodobania zmniejszaną lub powiększaną być może, miała ich ośm: cztery upadały razem i uderzały w przesuwające się pod niemi snopy wtenczas, kiedy drugie cztery się podnosiły. Ruch ich odbywał się podług zupełnie nowego przez Sterna wynalezionego mechanizmu, który podobnie poruszał i piłę w tartaku, mogącym dwa razy tyle tarcic narznąć, ile w równym czasie zwyczajny. Machina do żęcia zboża wydoskonaloną została w r. 1828.

Liczbę tych wynalazków powiększył Stern w r. 1821 nowym i ważnym wynalazkiem machiny do zdejmowania planów; ta z postaci do wózka podobna, nazwaną od niego została wózkiem topograficznym. W r. 1825 mianowany został członkiem Komitetu, składającego się z Izraelitów, do urządzenia spraw religijnych. Napisał on kilka rozpraw naukowych, po większéj części o swych wynalazkach, drukowanych w Rocznikach T. P. N., także kilka w przedmiotach religijnych dla swych współwyznawców; między niemi: „*O potrzebie nowego tłumaczenia biblji z hebrajskiego*," i „*O potrzebie wskrzeszenia czystéj Mojżeszowéj nauki*;" oprócz tego pracował nad dziełem o machinach arytmetycznych.

Był to człowiek pełen prostoty i słodyczy charakteru, lubiany i szanowany zarówno od swoich współwyznawców, jako też i Chrześcijan; bywający i w pałacach bogaczów, i w nędznych lepiankach odległych uliczek miasta Warszawy. Majątku nie zebrał, ani też nigdy nie opływał w dostatki; bo życie jego

miało cel wyższy i szlachetniejszy, aniżeli zbieranie złota; a tego celu Stern dopiął w całém znaczeniu tego słowa. Gdy umarł, kraj cały zasmucił się jego stratą, imię jego przekazując na zaszczyt i chlubę dla siebie, na wzór i zachętę dla potomności.

J. K. Turski.

NADZIEJA.

Nadziejo! co tyle pięknych ty umiesz powieści,
Ileż w tobie uśmiechów, przyrzeczeń się mieści;
Piękne i zawsze świeże twe majowe szaty,
Na śniegu już zawczasu zasiewasz nam kwiaty.
Ledwie zrodzone dziecię, już w dziewicę rośnie.
Żniwo dojrzewa ledwie w rozwiniętéj wiośnie.
— Bóg rzekł: „Córko! twa gwiazda na ludźmi niech świeci,
Bo to moja rodzina, to są moje dzieci;
Bądź ptaszkiem na ich drodze, kiedy się zasmucą
Niech twe pieśni niewinne o szczęściu im nucą."

— Bóg cię przysłał, i przyszłaś z twojemi siostrami,
Wiara ci towarzyszy z niebieską miłością,
Lecz w tém potwór piekielny, co się zwie chciwością,
Chwyta Cię za kraj szaty usianéj gwiazdami,
I od sióstr Cię odłącza, i twą rękę chwyta
W swoją rękę drapieżną, a sama nie syta
Prowadzi Cię nadziejo przez ciernie i błoto,
Gdzie w lochach zgromadzone w workach leży złoto.
I ten potwór cię uczy nowego języka,
Ciebie córo Niebieska, ty posłanko święta!
Uczy cię slabizować z niecnego słownika
Wyrazy: Spadek, zapis, akta, testamenta;
Palcem śmie Ci sędziwą pokazywać głowę,
A w imieniu nadziei, czeka życia końca,
I twe jasne promienie czyste jak wschód słońca,
Zmienia w pochodnie grobowe!

— U łoża śmiertelnego wstrząsa prześcieradła,
By dojrzeć, czy część złota z fałdów nie wypadła;
Liczy lata u starców i śledzi ich lica,
Każda miłość na ziemi to dla niéj mennica!

— O nadziejo! czem jesteś? grabarzem! twe rączki
Zamiast wiosną otwierać nam zielone pączki,
Aby tam wsunąć kwiatek co ma z majem ożyć,
Otwierasz tylko trumny by zmarłych tam złożyć,
A w sercu nie słowicze dźwięczą słodkie tony,
Kruk kracze...po-nad trupem brzmią pogrzebne dzwony!

. . . .

— Nadziejo! leć ku śmierci, leć jak gołębica,
Pomnij żeś córka Niebios, miłości siostrzyca!
Lecz nadziejo, gdy ujrzysz rodzinne ognisko,
Dopatrz gdzie jest babunia, i usiądź jéj blisko,
By jéj lata przedłużyć, baw ją choć złudzeniem,
I kłam nawet przed nami, przed wnucząt spojrzeniem,
Zasłaniaj zmarszczki babci, starości jéj szrony,
Kładź na jéj białe włosy twój wieniec zielony!

Gabryella Puzynina.

PONIEDZIAŁEK.

KARTKA Z TEKI
Jana Zacharjasiewicza.

Znaliście przecież wszyscy Sebastjana ze Skołoszowa. Był to mielnik, jakiego na dziesięć mil w okolicy nie było. Bo czy to młyn komu naprawić, czy wodę dobrze spuścić, czy wreszcie skrzynię lipową tak zrobić, aby złodziéj do niéj się nie dostał, wszystko to potrafił mielnik Sebastjan ze Skołoszowa. A sam przecież był prosty człowiek. Ojciec zostawił mu tylko siekierę i hybel w spuściznie, któremi, na życie zarabiał, stawiając karczmy a podpierając cerkwie. Ale Sobek był to sprytny chłopak. Wszędzie zajrzał i podglądnął, co kto robił i sam zaraz próbował. Nauczył się więc ciesiełki i trochę stolarstwa, umiał koło obłożyć i dyszel przyprawić, a nawet kilku sąsiadom postawił piec, i Szmulowi na Widaczu komin do połowy wymurował.

I tak rozmyślając i ucząc się od wszystkich czegoś, pomyślał sobie: Po cóż ja będę wszystko ręką i siekierą robił, aby na życie zapracować? trzeba coś zrobić, coby samo potem na mnie robiło!

I tak myślał i myślał, chodząc po nad rzeczką, która do Sanu niedaleko jego gruntu wpadała. Aż razu jednego stanął przy starym młynie i zaczął mu się przypatrywać.

— A tam do kata! zawołał, taż to licho samo się obraca, i samo na człowieka pracuje!

Od tego czasu nie miał już Sobek spokoju ni we dnie ni w nocy. Ustawicznie widział przed swemi oczyma ogromne młyńskie koło, które obracało się z takim łoskotem, że aż serce z radości skakało. A woda tak się rozpryskiwała na wszystkie strony, i takie szklanne perełki sypały się w górę, jakie tylko można w kieliszku wódki widzieć, gdy ją Szmul z Widacza w poniedziałek przy targu nalewa!

Sobek nie spał ani nie jadł, tylko robił i robił to siekierą to hyblem, póki grosza sporo nie uzbierał. Potem wybrał się do Jarosławia i niby prosty zarobnik najął się z siekierą do Czecha, który właśnie młyn stawiał. Tam przypatrzył się wszystkiemu, ukradkiem wymierzył wszystkie koła i walce, widział jak wodę spuszczali, aby ją oszczędzić i wszystko dobrze sobie spamiętał. A nim kilka lat upłynęło, Sobek kupił stary młyn na Skołoszowie, która to osada, jakby przedmieście, ciągnie się zaraz za chałupami miasteczka Radzynia, i sam własną ręką przebudował go z gruntu. Sąsiedzi nie mogli się nadziwić sprytowi Sobka, który wszystko, czego się tknął, tak zrobić umiał, jak najlepszy majster z Warszawy.

I tak za lat kilka szczeréj i wytrwałéj pracy, przy pomocy Boskiéj miał Sobek młyn pod gontem, a hałas i tertes rozlegał się z niego dniem i nocą na całą milę w koło, osobliwie w maju po rosie. Sobek chodził w porządnéj, siwéj kapocie z pętlicami, a policzki miał tłuste i rumiane, jak wójt z Radymna. I lazło, jak to mówią, szczęście do młyna Sobka drzwiami i oknami; a Sobek chwalił pana Boga i pracował daléj, nie bacząc na to, że już sam młyn dla niego pracował.

Tak minęło dużo, dużo lat. Co raz więcéj grosza przybywało do skrzyni lipowéj, a chociaż i dziatwy przybywało Sobkowi, to przecież nie troszczył się dla tego, bo wiedział, że po śmierci jego wystarczy dla wszystkich.

Anioł-stróż wprawdzie jest wesół, kiedy człowiek poczciwie żyje i pracuje, ale szatan za to gniewa się i złości, i przemyśliwa nad tem, jakby to poczciwego człowieka z dobréj drogi sprowadzić i do złego namówić. A niekażdy oprze się tym złym namowom: bo chociaż Pan Bóg mógłby złego ducha od człowieka za dziesiątą górę odepchnąć, to przecież nie czyni tego, bo człowiek ma wolną wolę i wolno mu między złem a dobrem wybierać. Pan Bóg powiada mu tylko, co złe a co

dobre, i wedle tego sądzić go będzie na sądzie ostatecznym.

I tak przystąpił zły duch do Sobka i zaczął mu do lewego ucha szeptać: Po cóż tak biedujesz, a nic nie używasz? Sześć dni robisz jak wół w pługu, a w siódmym dniu idziesz do cerkwi, aby drzemać podczas długiego kazania księdza wikarego, a potem aż do wieczora nudzisz się, bo młyn stoi, a ty żadnéj nie masz rozrywki. Głupi Sobku! wszak trzeba używać, co człek sobie zarobił, Alboś ty ukradł albo co? Alboś ty nie pracował gorzko na to? Kieliszek wódki u Szmula nie zawadzi, a w niedzielę ma Szmul szabasówkę, która mu się z soboty została!...

Tak i tym podobnie szeptał zły duch Sobkowi do ucha, gdy tenże po nabożeństwie koło Widacza przechodził, a Sobek skubał się w głowę i spluwał, jakby już w gębie czuł szabasówkę Szmula.

Razu jednego zaprosił Sobka na Widacz kum i sąsiad. W karczmie było nadzwyczaj wesoło. Muzyka grała, chłopi pili, baby śpiewały. A kiedy Sobek jeden i drugi kieliszek do góry przewrócił, rozjaśniało się mu niebo przed oczyma, choć na dworze deszcz padał, a czarne chmury gnały od zachodu. Po trzecim kieliszku zaczął Sobek śpiewać; a po czwartym stał już w tańcu i wybijał podkówkami, aż szyby na Widaczu brzęczały. Szmul był nadzwyczaj gościnny i usłużny. Dolewał, kłapał patynkami i gładził sobie brodę.

Późną nocą wrócił Sobek do młyna. Żonka i dzieci nie jadły obiadu, a płacz i obraza Boska rozlegały się po młynie daleko głośniéj, jak w dnie powszednie łoskot i tartas kół młyńskich.

Nazajutrz wytrzeźwił się Sobek i puścił młyn. A gdy stał koło kosza, zdawało mu się, że kosz bełkocze do niego.

— No cóż z tego, żeś się trochę zabawił! Wszak ty pracujesz na to. Trzeba rozerwać się, trzeba, a przecież miarka nie zawsze się przebiera. A chociaż się czasem i przebierze?....

Sobek pokręcił głową i rzekł do siebie:

— Kosz dobrze mówi, ale nie ze wszystkiem. Można się trochę zabawić, ale miarki nie trzeba nigdy przebierać. Gdy mierzysz pszenicę a z czubem nasypiesz, to ziarna na ziemię spadają, a szkoda ich. Do karczmy pójść nie zawadzi, ale przed wieczorem trzeba przyjść do domu, aby nie było obrazy Boskiéj.

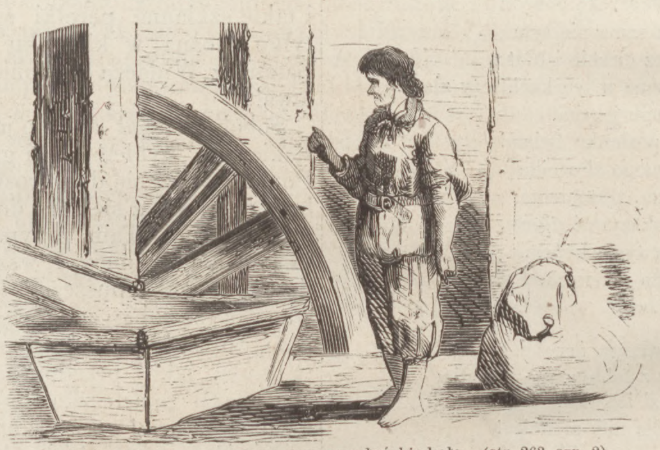
I tak co niedziela chodził Sobek do karczmy, aby z kumem lub sąsiadem pogwarzyć i kieliszek wódki wypić; zawsze jednak uważał na to, aby wcześnie do domu powrócić i obrazy Boga nie robić.

A zły duch śmiał się po cichu i stroił sobie żarty z Anioła-stróża, który stał po drugiéj stronie Sobka i smutny był, że Sobek już na złą drogę wchodził. Modlił się tylko gorąco do Boga, aby biednemu grzesznikowi użyczył sił do odparcia pokusy czartowskiéj, a w miarę jego modłów, jaśniéj i widniéj robiło się w głowie Sobka, z czego zły duch mocno się gniewał.

Każdy grzech jest to jak wielka maszyna do młócenia zboża. Włóż tylko palec, a ona wciągnie ci całą rękę. Tak samo stało się i z Sobkiem. Chciał on z razu tylko kieliszek wódki z kumem wypić u Szmula, a gdy kilka miesięcy upłynęło, Sobek pił każdéj niedzieli do późnéj nocy, powracał do żonki i dzieci pijany, i znowu była obraza Boska, aż się sąsiedzi zbiegali.

Nie dosyć na tem. Przespawszy się trochę, wracał w poniedziałek rano znowu do karczmy, i pił tam przez dzień cały. Wspomnienia bowiem wczorajszéj hulanki były zbyt świeże i tak go nęciły, że nie mógł tego sobie odmówić, aby do karczmy nie wrócić! Tam zastał zawsze kilku próżniaków i włóczykijów, którzy mu schlebiali, bo Sobek miał pieniądze i wszystkim płacił.

I tak nieznacznie przeszło mu to już w nawyczkę, i stało się drugą jego naturą. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczai, a najsnadniéj do grzechu. Sobek zaraz po nabożeństwie szedł do karczmy, i pił do późnéj nocy. W poniedziałek były poprawiny i jeszcze większa obraza Boska, a we wtorek dopiero wytrzeźwiwszy się wracał do pracy. A młyn tymczasem cały poniedziałek stał spokojnie jakby zakuty, żadne koło się nie ruszyło, a nawet woda gdzieś cichaczem uciekała, że jéj nawet widać nie było. Żydzi, którzy w poniedziałek ze zbożem do młyna przyjeżdżali, musieli czekać do wtorku, aż się mielnik wytrzeźwi. Ztąd było wielkie narzekanie a często i obraza Boska, bo pijany Sobek rozbijał żydów, gdy który w poniedziałek chciał mleć żyto we młynie.



Widział przed swemi oczyma ogromne młyńskie koło,—(str. 263, szp. 2).
(Rysował Rudzki—wyciął na drzewie Olszewski).

I tak wiele lat upłynęło, a młyn Sobka słynął na całą okolicę, że w poniedziałek żaden żyd ze zbożem nie śmie się tam pokazać, bo cały dzień mielnik pije na Widaczu, a natrętnych z guzami do domu odsyła. I może jeszcze po dziś dzień truchleliby żydzi z Jaworowa na wspomnienie tego fatalnego poniedziałku, gdyby nadzwyczajne nie było zaszło zdarzenie.

Wypadek, który Sobka spotkał, nie był zresztą tak nadzwyczajnym. Przytrafia on się każdemu człowiekowi raz w życiu, a wtedy krewni kładą go do trumny, zabijają wieko i chowają do ziemi.

Otóż taki wypadek spotkał i Sobka. Wracając bowiem razu jednego z Widacza, (a było to jak zazwyczaj w poniedziałek), szedł wązką ścieżką po nad brzegiem rzeki, zataczając się to w lewo to w prawo. Zdawało mu się przy tem, że bije się z sąsiadem swoim Maciejem Starką. Wymachiwał więc rękami na wszystkie strony, jakoby bił swego przeciwnika. A kiedy właśnie pod trzecie żebro chciał mu kułaka wsadzić, i mocno w tym celu na lewo się przechylił, poczuł nagle, że lewa noga straciła grunt, a za lewą nogą poszła i prawa, a wnet za no-

gami podążył i cały Sobek, i zaczął lecieć w jakąś okropną, bezdenną przepaść.

Leciał i leciał i końca temu nie było, i westchnął wreszcie do św. Sebastjana patrona swego i do Marji, opiekunki utrapionych. Musiało to jednak już być za późno, bo Sobek uczuł jak najwyraźniéj, że czubkiem głowy dotknął się jakiegoś zimnego kamienia, poczem trzasło mu coś w karku i na tem koniec.

Tutaj w życiu Sobka nastąpiła mała przerwa. Nic nie wiedział co się z nim stało. Dopiero za dobrą chwilę poczuł znowu, że mógł myśleć i nad sobą się zastanawiać. Ale nie był to już Sobek mielnik w długiéj, siwéj kapocie. Gdy spojrzał po sobie, był tak biały jak wór mąki, a tak na wskroś przezroczysty jak mgła na wiosnę. Duszno mu tylko było, jakby był gdzieś zamknięty. Szamotał się więc jak mógł w ciasnym jakimś kadłubie, a obaczywszy jasny otwór nad sobą, zaczął się przez niego na wolne powietrze przeciskać. A gdy jedną nogą na miękkiéj trawie stanął, spostrzegł, że wylazł gardłem zabitego człowieka, który z rozstrzaskaną głową leżał na dnie rzeki. W téj chwili wychylił się księżyc z po za chmury, a Sobek poznał w zabitym człowieku siebie samego, mielnika ze Skołyszowa, w długiéj siwéj kapocie. A on, biały, jak wór mąki, był już tylko duszą!..

— Otóż masz babo djable reduty! pomyślał sobie Sobek, skręciłem kark i umarłem! Głupia rzecz tak umierać człowiekowi! A co to powiedzieć na sądzie Panu Bogu, jeźli powie: Precz pijaku, jeszcze pałka ci nie wyszumiała!

W wielkim tedy strachu był Sobek, jakto gadać przed Panem Bogiem, który wszystko ma zapisane w księdze żywota. I żeby jakoś bez namyślenia się nie stawać przed tym strasznym sądem, usiadł na brzegu rzeki, czekając aż go sam Pan Bóg zawoła.



Szedł ścieżką, nad brzegiem rzeki.—(str. 264, szp. 2).
(Rysował Rudzki—wycięto w drzew. Tygodnika Illustr.)

Tymczasem zawitała jutrzenka, skowronki zaczęły śpiewać hymn do Pana Boga. W dali skrzypiały wozy i słychać było ludzi odmawiających głośno Pozdrowienie Anielskie, bo właśnie z miasteczka dochodziły dźwięki dzwonu, głoszącego „Anioł Pański.” W nowéj białéj kapocie siedział Sobek na brzegu i patrzał na dno rzeki, gdzie leżało jego ciało pokaleczone. A gdy pierwsze promienie słońca zabłysły i całe koryto rzeki oświeciły, Sobek przeraził się widokiem swego trupa! Miał on twarz obrzękła i brzydką, jakto zazwyczaj u pijaków bywa. Wstrząsł się cały i odwrócił oczy, mówiąc do siebie:

— Mój Boże, jakże obrzydliwym potworem jest każdy pijak, a jam za życia o tem nigdy nie wiedział! Co na to wszystko Panu Bogu odpowiedzieć!...

I przyszli ludzie i obaczyli na dnie rzeki zabitego mielnika. A poznawszy, że pijany zeszedł z tego świata, zaczęli się urągać nad nim, potrącając go nogami. A nikt nie przyłożył ręki bratniéj, aby go z wody na brzeg wyciągnąć! Leżał jak padlina, a stado psów zgłodniałych krążyło koło niego.

Widział ot wszystko Sobek siedzący na brzegu i rzewnie płakał. Obaczywszy sąsiada Macieja Starkę, rzekł do siebie:

— Maciéj był moim kumem i dawniéj wiele mu dobrego świadczyłem. Wczoraj wprawdzie biłem się z nim w karczmie, ale chrześcijanin nie powinien guzów długo pamiętać. On zapewnie odda mi ostatnią przysługę i trupa mego wyjmie z wody.

Pan Maciéj zbliżył się do mielnika, odgarnął nogą włosy a obaczywszy obrzękłą twarz trupa, splunął, przeżegnał się i odszedł. Sobek podskoczył ku niemu i uchwycił go za połę, aby mu przypomnieć dawne dobrodziejstwa swoje, ale kum Maciéj nie czuł tego, obalił Sobka na ziemię i przeszedł po nim jakby po cieniu.

— Tam do kata! pomyślał Sobek, otrzepując z prochu białą koszulę, kum Maciéj wcale mnie nie widział i przeszedł po mnie jak po ścierce! Tak to tak! Po śmierci nie widzą już ludzie człowieka, tylko kadłub jego, co leży bez duszy!

I zaczął Sobek rzewnie płakać i siadł na kamieniu tuż przy trupie. *(Dok. nast.)*

ŻEGLUGA NAPOWIETZNA.

(Dokończenie—Patrz Nr. 32).

Opowiedzmy jedną jeszcze całą podróż napowietrzną, którą nieźbyt dawno, bo w roku 1861 odbyto. Statkiem napowietrznym był olbrzymi balon, nazwany Atlantyk, żeglarzami zaś panowie: La Mountain, Gager, Wise i Hyde w Stanach Zjednoczonych. Wise w ten sposób opisuje tę podróż:

„O godzinie 6 wieczorem, napełniono balon gazem, a o 7-éj był już *Atlantyk* do jazdy gotowy. Między balonem i łodzią, kazaliśmy umieścić silny kosz, ściśniony obręczami; w łodzi znajdowało się 600 funtów ciężaru, wiadro wody, wiadro limoniady, mnóstwo chleba, wina i rozmaitych przysmaków, jakich nam przyjaciele ponasyłali. La Mountain objął komendę nad łodzią i balastem, Gager usiadłszy na przeciwnym końcu, wziął pod swój zarząd igłę magnesową i mappy, Hyde zaś umieścił się w pośrodku z książką i ołówkiem dla notowania spostrzeżeń. W koszu nad łodzią było 350 funtów balastu, barometr, termometr, wino, żywność i ja; mnie bowiem powierzono sznur od klapy i kierownictwo całéj żeglugi.

O godz 7 minut 20 puściliśmy się z Saint Louis (w państwie Missuri w półn: Ameryce); balon wziął kierunek północno-wschodni. O 8-éj straciliśmy z oczów St. Louis i Missisipi, chociaż było jasno do 10-téj. Ja byłem bardzo znużony pracą, przy upuszczeniu gazu w czasie gorąca, więc odstąpiłem moje miejsce na noc panu La Mountain, który miał mnie zbudzić na wypadek, gdybyśmy sznura od kla-

py potrzebowali. Nim się spać położyłem, dosięgnęliśmy takiéj wysokości, iż balon nadął się całkowicie, kierunek powietrza był wschodni. Dało nam się tu uczuć przenikliwe zimno, a La Mountain, który od dni kilku był niezdrów, skarżył się jak i my na niemiłą zmianę temperatury, i objawił życzenie, abyśmy się w niższą sferę spuścili, o ileby takowa nie oddalała nas od wschodniego kierunku. Rzekłem mu, aby robił co za właściwe uzna, i aby nam na drugi dzień udzielił swych spostrzeżeń, sam zaś życzyłem całemu towarzystwu dobréj nocy, a okrywszy się kołdrą, zasnąłem natychmiast i spałem do w pół do dwunastéj. O téj porze zbudził mię La Mountain, żądając, abym klapę nieco otworzył, gdyż balon był nadzwyczaj wydęty.

Postanowiłem już nie spać i czynić spostrzeżenia, zwłaszcza że było dość jasno. Całe niebo promieniło się fosforycznem światłem, tak, iż można było rozróżniać łąki i lasy, drogi i domy. Około 4-téj rano, przelecieliśmy ponad jakiemś miastem, nie wiedząc jego nazwy, o 6-téj przybyliśmy po nad Foledo, a w godzinę późniéj ujrzeliśmy się ponad wodami wielkiego jeziora. Po krótkiéj naradzie, postanowiliśmy przelecieć je wzdłuż, a lecąc prześcignęliśmy siedm statków parowych, z któremi witaliśmy się nawzajem i wnet je z oczu tracili. O godzinie 10-éj, przybyliśmy ponad wybrzeża Kanady, i wkrótce stanęliśmy w Stanach Nowego Yorku. Tu postanowiliśmy wylądować, niedaleko miasta Rochester, gdzie mieli wysiąść pp. Gager i Hyde, my zaś mieliśmy jechać jeszcze do Bostonu.

Jakoż spuszczaliśmy się na dół; lecz gdyśmy już byli zaledwo tylko 1000 stóp po nad ziemią, powstał okropny wicher. Oświadczyłem moim towarzyszom że zginiemy, jeśli zechcemy wylądować śród takiéj burzy. Balon jednak, pomimo, wyrzucania balastu spadał z gwałtownością na dół. Już byliśmy blisko wierzchołków drzew małego lasku, gdy zawołałem: „Na miłość Boga, rzucajcie na dół co tylko można. La Mountain stanął na brzegu gondoli, by w danym razie wszystko wyrzucić. Hyde spojrzał do góry i rzekł do mnie uroczystym tonem: „Profesorze, jest to bardzo smutna historja; co mamy począć?" Zaufajcie w Bogu i zimnéj rozwadze, odrzekłem.

Tymczasem coraz silniejsza burza rzucała nami na wszystkie strony. Wszyscy byli w obawie bliskiéj śmierci; zachodziło tylko pytanie, czy ginąć na wodzie czy na lądzie. Mojém zdaniem było lepiéj utonąć jak zostać rozbitym o skały i drzewa. Hyde zaś odparł zimno, że jest gotów umierać, lecz raczéj na lądzie. W czasie tych rozmyślań, wyrzucał La Mountain wszystko z gondoli: nasze torby podróżne, instrumenta, żywność spadały jak grad jedne po drugich. Przez grubą powłokę chmur, rozróżnialiśmy na kilka mil przed sobą wybrzeża i z niesłychaną szybkością zniżaliśmy się ponad spienione bałwany, aż naraz, plusk!

— Gondola padła na falę, a woda wciskała się do niéj ze wszech stron! La Mountain trzymał się po bohatersku w gondoli, choć stracił swój kapelusz i był już do nitki zmoczony. Wyrzuciwszy resztę rzeczy z łodzi zawołał: „Tylko spokojnie moi panowie; my się jeszcze raz wzbijemy do góry." W istocie, byliśmy niezadługo paręset stóp nad wodą. Statek parowy przebiegał w téj chwili ponad nami, a z głębi tegoż usłyszeliśmy jednogłośne *hurra!*

Wkrótce byliśmy o 15 mil od brzegów; burza szalała jeszcze, gdyśmy dosięgli lądu. La Mountain wydobył się do nas, do kosza. Ja widząc tu i owdzie drzewa, oświadczyłem, że nas tu największe oczekuje niebezpieczeństwo.

Jakoż sprawdziła się niestety moja przepowiednia. O sto łokci od brzegu, padliśmy na drzewa. Kotwica nasza, przy pierwszem zahaczeniu o drzewo, zdruzgotała się jak gliniany cybuszek, a myśmy uderzyli gwałtownie o wierzchołek wysokiego wiązu. Kosz przechylał się na wszystkie strony, a gondola zaczepiała o gałęzie [1]); jednak balon znowu się wydął, gałęzie zaszumiały mocno, i w tejże chwili oswobodziła się łódź urywając i unosząc ze sobą ogromny, 800 funtów ważący konar. Z szumem wznieśliśmy się raz jeszcze na jakie 100 stóp po nad ziemię, lecz ciężar oderwanéj gałęzi był widać za wielki, gdyż balon się nagle spłaszczył i począł upadać. Burza ryczała ciągle, a nasze położenie między niebem a ziemią, nie było do pozazdroszczenia. Szczęściem żaden z nas nie był ranny, więc coprędzéj wygramoliliśmy się na dół, bo kosz i powrozy nie byłyby już dłużéj i dwóch minut wytrzymały. W tejże saméj chwili, musnęła łódź o ziemię, i szczęśliwie wszyscyśmy z niéj powyskakiwali!"

Powyższa podróż, była jedną z najśmielszych i najdłuższych. W przeciągu $19\frac{1}{2}$ godzin przebyli tu nasi podróżnicy znaczną przestrzeń 1150 mil angielskich t. j. 240 naszych, czyli inaczéj mówiąc 12 mil naszych na godzinę. Tak żaden ptak nie goni, żaden parowiec, żadna lokomotywa. Już w r. 1836 przeleciał był *Green*, znaczną przestrzeń przez noc jednę: wsiadł był bowiem w Londynie, a wysiadł w księstwie Nassau. Jednakże było to tylko 90 mil na godzin 19.

Widzimy więc, iż żegluga napowietrzna, należała i należy ciągle do niebezpiecznych prób, i prócz ciekawych opowiadań, jakiemi ślady swe znaczy, niestała się dotychczas przedmiotem ogólnego pożytku. Musimy atoli przyznać, iż nauka odniosła z niéj znaczne korzyści. Jeszcze w r. 1804, wznosił się był znakomity fizyk francuzki *Gay-Lussac*, z również sławnym uczonym *Biot'em*, do znacznéj wysokości balonem. Czynili oni przytem bardzo cenne spostrzeżenia, nad gęstością i ciśnieniem powietrza. Drugie wzniesienie się Gay-Lussaca, było największém, jakie dotychczas osiągnięto. Uczony ten, dotarł był wówczas do wysokości 7000 metrów czyli 21,700 stóp ponad ziemią. Tu można było już tylko z największą trudnością oddychać, gdyż powietrze jest tak rzadkie, iż głos w niem nawet niesłyszalnie się rozpływa.

Mówiąc o pożytkach żeglugi napowietrznéj, nie możemy pominąć, iż balon oddał niejakie usługi w niektórych wojnach. Już w czasie wojen rewolucji francuzkiéj, było trzy kompanie *aerostierów*, t. j. ludzi, którzy przeznaczeni byli do badania ruchów nieprzyjacielskich, za pomocą balonu. W czasie bitwy pod Fleurus i przy obleżeniu Moguncji, przyczynili się oni istotnie do pomyślnego końca walki. Jednakże niedogodności przy transportowaniu i napełnianiu balonu tak były wielkie, iż zaniechano wnet napowietrznych obserwacji. Niektórzy obawiali się nawet téj maszyny. Gdy Bernadottego np. przy danéj sposobności namawiali, aby się wzniósł balonem do góry, odrzekł: Wolałbym jeździć na ośle! Pomimo to wszystko, pojawia się balon od czasu do czasu, przy strategicznych obserwacjach.

[1]) Patrzeć rycinę w N-rze 31 *Opiekuna Domowego*.

Używano go w wyprawie algierskiéj, przy oblężeniu Sebastopola w Krymie, w ostatniéj wojnie francuzko-włoskiej r. 1859, a nawet w ostatniéj wojnie amerykańskiéj, posługiwano się czasem balonami. Lecz to jest cały ich pożytek.

Nie możemy atoli wątpić, iż duch ludzki, który już tyle za niemożliwe poczytywanych trudności rozwiązał, że ten duch potrafi kiedyś zniewolić wichry; w wynalazku balona, odda człowiekowi śmiałe i pewne skrzydło. A jak każdy wynalazek materjalny, tak też i dzień, w którym balon udoskonalonym zostanie, będzie dniem dalszego, olbrzymiego kroku cywilizacji. Lecz jeszcze daleko do tego; a nim się to stanie, możesz synu ziemi cieszyć się snem lub wyobraźnią, i na jéj skrzydłach latać po powietrzu, kąpać się w promieniach słońca i zwiedzać srebrne, migocące gwiazdy [1]. *Juljusz Starkel.*

INDYKI DZIKIE.

Każdy z was, czytelnicy, widział zapewne choć raz w życiu swem indyka, króry w kraju naszym, ba nawet w całéj Europie, stał się ptakiem domowym nader powszechnym; nie jeden wszelako może niewie, że ptak ten żyje w stanie dzikości w północnéj Ameryce; że zaś zadaniem Opiekuna Domowego jest obznajmić was, i z rzadszemi ptakami, przeto na ten raz posłuchajcie opisu tego indyka, poczerpniętego z wiarogodnych źródeł, to jest od tych, którzy go naocznie widzieli i namalowali tak samca jak i samicę, jak to na rysunkach drugostronnie podobnych jest wyobrażone.

Otóż ten indyk: cały prawie jest brunatny, białe plamy tylko zakończają jego żółto-białe pióra i piękny połysk brązowy oblewa go całego. Głowę i wyższą część szyi pokrywa skóra naga i zupełnie brodawkowata, od gardzieli spada narośle wzdłuż szyi, a na czole sterczy inny narost, kształtu ostrościennego, u samców nabrzmiewający i przedłużający się tak, że w chwili gwałtownego usposobienia, aż po za dziób dosięga. U dorosłych samic w dolnéj szyi wyrasta kiść włosów twardych, kruchych na końcu okręcających się, czarno-niebieskich, które w trzecim roku 5 do 6 cali mają długości, i tkwią z korzeniem na nabrzmiałéj brodawce mięsnéj. Ten dziki indyk jest bardzo łaskawy, ale głupi i bojaźliwy, lata ciężko i z szumem, a chodzi powoli. Samica oswaja się łatwo. Osobliwsze jest zachowanie się tego ptaka, zwłaszcza samca; zataczając koło ogonem, końcami spadających skrzydeł, energicznie jeździ po ziemi, równoważnie i sztywnie się obraca, wtedy brodawki na głowie i na szyi, z niebieskiego koloru przechodzą w czerwony, a słychać dziwne bełkotanie. Samica tego wszystkiego nie robi. Ptak ten rad przesiaduje na drzewach, lubi żołędzie i orzechy, i tyje od nich. Jest o wiele większy od zwyczajnego indyka, waży 20—30 funtów, a mięso jego podobne jest do mięsa bażantów. W północnéj Ameryce polują na niego z pilnością, gdyż mięso jego w wielkiéj jest cenie. Smaczne i pożywne jaja dzikich indyczek, są także przedmiotem ciekawych na nie zasadzek.

Ponieważ i w kraju naszym są ludzie, co chętnie zajmują się przyswajaniem, tak zwierząt jako i roślin z obcych krajów, czyby przeto nienależało zwrócić ich uwagę, aby dla próby sprowadzili kilka sztuk tego ptastwa, które może by się tu przyswoiło, tak jak indyki zwyczajne, które także z zamorskich krajów pochodzą. W każdym razie niestracilibyśmy na tem sprowadzeniu; bo przypuśmy nawet, żeby indyki pozdychały, to wypchanemi po śmierci zbogaciłby się nasz Warszawski Gabinet Zoologiczny, na czemby znów zyskała młodzież szkol,na i zwiedzający takowy gabinet Warszawianie w ogóle.

Adam Mieczyński.

Ochranianie drzewa od zepsucia.

Za granicą, wyrabiają już teraz meble nie z prostego drzewa zwykłego, ale z drzewa tak przygotowanego, aby nie ulegało gniciu i pruchnieniu, a także toczeniu przez robaki. Różne w tym celu używane są sposoby; wybornym w tym względzie, okazało się nasycanie drzewa ciężkim olejem, ze smoły węgli kamiennych wydobywanym, lub też, daleko lepiéj koperwasem miedzianym. Widzieliśmy nawet w Warszawie, kawałki drzewa przygotowane tym sposobem i nie ulegające żadnemu zepsuciu, przez lat kilkadziesiąt; dobrze by więc było, aby nasi panowie majstrowie, obznajmili się z tym wynalazkiem, i przygotowywali tak drzewo, jeżeli nie na meble, to przynajmniéj na oddrzwia, futryny i t. p. przedmioty, stolarstwa budowlanego dotyczące.

ROZMAITOŚCI.

— We Francji, tąk jak w innych krajach, są jeszcze osoby, które się zajmują doświadczeniami ze stolikami wirującemi i z duchami w nich pukającemi i przyszłość przepowiadającemi. Doświadczenia takie niepokazują dość zdrowego rozsądku u osób niemi zajmujących się, a przytém przywodzą wielu do zupełnego obłąkania. W listopadzie roku zeszłego, pewien jegomość bardzo przyzwoitéj powierzchowności przybył z rana do adwokata L. w Paryżu, zażądał od niego osobnego posłuchania. Kiedy byli już sam na sam, nowo przybyły powiedział te słowa do adwokata L. Jestem potomkiem familji S., która zapewne panu jest choć z nazwiska znajomą. I rzeczywiście nazwisko, które wymienił było znane adwokatowi, i dla tego ten słysząc go, skłonił głową na znak, że tak jest w rzeczy saméj. Zamek należący do mych przodków, mówił daléj z wielką powagą ten nowo przybyły, został sprzedany podczas pierwszéj rewolucji. Nie wiem imienia dzisiejszego jego posiadacza, ale wypadek Opatrzności zrządził, że dostał się w moje ręce teraz, jeden bardzo ważny autentyczny dokument, z którego dowiedziałem się pewnéj okoliczności, niezmiernie dla mnie znaczącéj, a tyczącéj się tego majątku. Otóż z tego to aktu wiem, że mój dziadek, przed opuszczeniem Francji, podczas ówczesnych smutnych wypadków, niestraciwszy nadziei że będzie kiedyś mógł znowu powrócić do kraju, zakopał w pewnym miejscu swego parku, co ze znaków niezawodnych będzie można odkryć, rozmaite kosztowności, jak klejnoty, srebro stołowe i t. p. rzeczy, co wszystko stanowi znakomitą wartość. Na te słowa adwokat nie mógł się powstrzymać od pokaza-

[1]) Z nowszych udoskonaleń tego wynalazku, musimy tu wspomnieć o balonie *Nadara*, zachwycającym swoim ogromem i chyżością, mieszkańców Paryża w ostatnich czasach; jako też o balonie pp. *Bergów*, którego napowietrznéj podróży mieliśmy właśnie niedawno sposobność przypatrywać się w Warszawie. Balon ten rzeczywiście olbrzymim swoim rozmiarem zasługuje na uwagę. Trzykrotnie zaś odbyta nim podróż w dość odległéj linji nad ziemią, (bo do kilku tysięcy stóp sięgającéj), dozwalająca nawet zdejmować fotografie ze znikających przed okiem podróżnika krajobrazów, dowodzi zbliżania się właśnie do owego dnia udoskonalenia tego ważnego wynalazku, będącego niezaprzeczenie ważnym krokiem w postępie cywilizacji. *(Przyp. Red.)*

nia pewnego niedowierzania, i uśmiechając się powiedział: Wybaczy mi pan, ale w romansach i w sztukach teatralnych znajduje się wiele skarbów ukrytych; w życiu jednak realnem bywa to rzadko i niestety! bardzo rzadko tylko.



Indyk dziki, samiec.—(Wycięto w drzeworytni Lipskiéj Lorcka).

Czy to się zdarza, czy nie, odparł żywo nowo-przybyły, to jednak jest to istotną prawdą. Powiedziałem zresztą panu, że posiadam akt orginalny i że go złożę na dowód panu. Mogę nawet wymienić szczegółowo, co się pomiędzy temi przedmiotami znajduje. Jest tam naprzykład tabakierka ozdobiona brylantami, którą mój dziad otrzymał z rąk królewskich: ozdoba dla dam z turkusami, nadzwyczajnéj wielkości, którą moja babka miała podczas ślubu Ludwika XVI; ogromny brylant nazywany Dauphin, który od wieków był w posiadaniu naszéj familji; krzyż wysadzany różnemi kamieniami, po moim dziadku stryjecznym arcybiskupie..... Tu adwokat, nie wiedząc co ma myśleć o tem wszystkiem, przerwał to wyliczanie klejnotów, które mogło niewiedzieć jak długo jeszcze potrwać, i powiedział: Przypuściwszy, że te wszystkie skarby rzeczywiście istnieją, chciałbym wiedzieć w czem panu mogę być użytecznym? Przychodzę poradzić się pana, czy wolno mi będzie odkopać te wszystkie kosztowności, które niezaprzeczenie do mnie należą, i które chciałbym z tego powodu objąć w posiadanie. Hum! odrzekł adwokat, to zdaje mi się będzie rzeczą bardzo trudną. Dzisiejszy bowiem właściciel zamku, może niedozwolić robienia poszukiwań, trzeba z nim zatem będzie się naprzód prawować, a i tak wypadek sprawy jest jeszcze bardzo wątpliwy.



Indyk dziki, samica.—(Wycięto w drzeworytni Lipskiéj Lorcka).

Jednakowoż niechciałbym stracić tego, o czem że istnieje jestem najmocniéj przekonanym. Jeden bowiem z mych przyjaciół, który jest medium [1]) i który ma ustawiczne stosunki z duchami, otrzymał właśnie bardzo ciekawe objaśnienie o tych skarbach, które chce panu adwokatowi zakomunikować właśnie. Usłyszawszy to, adwokat zadrżał, spostrzegł bowiem, że już od godziny jest na posiedzeniu sam na sam z obłąkanym. Chcąc więc to niepokojące posiedzenie ukończyć, powiedział wstając z krzesła: Daruje mi pan, że interesa bardzo pilne, niepozwalają mi dziś dłużéj zajmować się rozpoznawaniem téj sprawy. Inną razą pozwoli pan, że...... Ach! to pan mię nawet wysłuchać niechcesz, zawołał szalony, a oczy mu błyszczały niezwykłym gorączkowym ogniem. No! mniejsza zresztą o to, ale oddajże mi mój-akt przynajmniéj. Jaki akt, powiedział zdziwiony adwokat, wszakże mi pan żadnego jeszcze nie dałeś. Mój dokument, nędzniku, i do tych słów dołączając gest wściekły, rzucił się ten obłąkany na adwokata, i z taką go siłą ścisnął za gardło, że twarz jego zczerwieniała i oczy wyszły mu na wierzch. Jeszcze kilka minut gdyby się to posiedzenie sam na sam przedłużyło, a byłby adwokat niewątpliwie uduszonym został, ale na szczęście jego, nadbiegli mu na pomoc kanceliści i służący, usłyszawszy groźne słowa zbyt głośno wymówione, a potem łoskot szamotania się. Rzucono się zatem na warjata, któremu tylko z największą trudnością potrafiono z rąk wydrzeć na pół już martwego prawnika, poczem napastnika odprowadzono do bióra policji. Ze śledztwa okazało się, że ten nieszczęśliwy stracił rozum w skutek zbytecznego zajmowania się wirującemi stolikami i *mediami* pośredniczącemi pomiędzy duchami. Oddano go zatem do domu obłąkanych, gdzie mają nadzieję, że kuracja potrafi go wyleczyć z tych wszystkich niedorzeczności.

– Człowiek oddycha na minutę 16 razy za każdem odetchnieniem przyjmuje do płuc około 20 cali kubicznych powietrza, więc w 24 godzinach do 267 stóp kubicznych. Z tego powietrza spotrzebowywa na dobę blisko 116 stóp kubicznych.

[1]) *Medium* w języku zajmujących się wirującemi stolikami, nazywa się osoba mająca, niby własność pośredniczenia pomiędzy duchami siedzącemi w stolikach, a osobami pragnącemi z niemi rozmawiać. Co za niedorzeczność!

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 4 (16) Sierpnia 1865 r.